

Tanith Lee

Łzy pośród deszczu

Tego dnia ogłoszono Alarm pogodowy, więc przede wszystkim nikt z nas nie wychodził. Dzieci oglądały płatną telewizję, a ja karmiłam kury na podwórzu zamkniętym. Zbliżała się dziewiąta rano. Nadeszła nagle matka, stanęła na skraju podwórka. Pamiętam, jak na mnie patrzyła: widywałam już to spojrzenie i choć nigdy nie padło słowo wyjaśnienia, wiedziałam, co oznacza jej wzrok. Tak samo taksowała spojrzeniem kury albo warzywa i sałatę w korytkach. Dziś wystąpiła subtelna różnica - i ja to zauważyłam. Chyba przyszła na mnie pora.

- Greena - zawołała. Szybkim krokiem ruszyła w stronę kurnika, zerkając na pozostałości godne kury. Przez cały tydzień zniosły tylko trzy jajka, jedno z wysokim poziomem. Mimo to matka miała teraz w głowie coś innego niż drób.

- Greeno, przed południem pójdziemy do Centrum.

- Mamo, a Alarm pogodowy?

- Alarm? Ci idioci często się mylą. Zresztą zapowiedzieli coś dopiero po południu. Przedtem Bez Zmian. Zdamy do środka.

- Ale mamo - zaprotestowałam - nie złapiemy autobusu. Podczas alarmu nie jeżdżą. Będziemy musiały iść piechotą.

Jej twarz, sucha, przeżarta do kości przez życie i los, kłapnęła na mnie jak szczurołapka:

- Więc pójdziemy piechotą. Nie zaczynaj, Greeno. Od czego masz nogi ?

Wytrząsnąwszy resztki karmy z miski ruszyłam do drzwi schodowych.

- Jeśli już mowa o nogach - odezwała się matka - włóż pończochy. I tamte rzeczy, które kupiliśmy ostatnim razem.

Wечно to samo gadanie. Naturalnie ze względu na kamery, zwłaszcza w łazienkach u Wejścia. Człowiek się rozbiera i wszystko, co miał na sobie przechodzi przez maszynę piorącą - do odbioru z drugiej strony. Przy kamerach czuwa straż bezpieczeństwa i lekarze, którzy zawsze mogą coś dostrzec i zainteresować się bliżej. Trzeba wkładać najlepsze ubranie, żeby się później nie wstydzić: rzeczy, które nawet lekarz z Centrum przejrzy bez obrzydzenia. Pedantka z tej mojej matki. Poszłam wziąć prysznic, umyłam włosy szamponem, potem użyłam pudru o zapachu róż, zakupionego w Centrum, żeby cała mogła pachnieć czystością, gdy będę przechodzić mycie w Wejściu. Następnie założyłam najlepszą

bieliznę i białą sukienkę, pończochy, pantofle; nie zapomniałam też wrzucić pudełka różanego pudru do torebki.

Matka była gotowa, czekała już, gdy schodziłam do drzwi zewnętrznych, ale mnie nie skarciła. Oczekiwała mojej sumiennosci.

Dzieciaki wrzeszczały wokół telewizora, tylko siedmioletnia Daisy, która miała ich pilnować, ze strachem i zazdrością patrzyła, jak wychodzimy. Matka zapędziła ją krzykiem do środka, zanim otworzyłyśmy drzwi.

Po odszczelnieniu, kiedy wyszłyśmy na dwór, uderzyło w nas gorąco upału. Dzień był bardzo ciepły, niebo wciąż czyste jak niebieskie pleksi. Ale ponieważ ogłoszono Alarm, nie było rzecz jasna żadnych autobusów i prawie nikogo na ulicy. Zresztą w dni Alarmu naprawdę nie miało się dokąd pójść. Wszystkie sklepy uszczelniano na cztery spusty, tak samo trzy okoliczne bary. Nasza stacja kolejowa przestała funkcjonować, gdy miałam cztery lata: jedenaście lat temu. Nawet niezliczona banda dzikich lokatorów ustawiała swoje deski z narzuconym brezentem.

Na rozpalonym, pokrytym kurzem chodniku minęłyśmy jedynie parę włóczęgów-fatalistów przybyłych z podmiejskiego pasa zieleni, niosących flaszki jabłeczniaka czy petromiksu, które wesoło wzniesli na nasz widok. (Matka popchnęła mnie naprzód.) Gdy pokazał się wóz policyjny, oczywiście zaczął sunąć obok nas i włączył swój głośnik.

- Czy ta wędrownka jest istotnie konieczna, proszę pani? Matka, której cierpliwość była na wyczerpaniu, zgrzytnęła ze złością:

- Tak, konieczna.

- Pani wie, że prognoza przewiduje deszcz w tych rejonach?

- Tak - warknęła.

- A to pani córka? Nierozsądnie z pani strony ryzykować, że dziecko...

- Córka i ja idziemy do Centrum. Jesteśmy umówione. Jeżeli nic nam nie przeszkodzi, będziemy w środku, nim spadnie pierwsza kropla deszczu - wycodziła moja matka, przesywając wzrokiem nadętego policjanta, który w samochodzie o oknach z Uszczelu robił wszak jedynie, co do niego należy.

Dwaj policjanci w zacisznym wozie patrolowym wymienili spojrzenia.

Kiedyś mogli nas aresztować za nieodpowiedzialne zachowanie; mnie też, razem z matką, ale teraz nikomu już nie zależy. Za wiele zbrodni wokoło. Nasze zmartwienie.

Policjant, który mówił do nas, uśmiechnął się kwaśno i zgasił głośnik - zresztą uśmiech też.

A jednak czworo oczu utkwilo we mnie na moment, zanim samochód odjechał. Przynajmniej tyle miała z tego matka. Chociaż policjant nazwał mnie dzieckiem z powodu paska na przegubie białego do lat szesnastu - najwyraźniej dostrzegł, że wyglądam bardziej dojrzałe, a przy tym całkiem do rzeczy.

Matka maszerowała naprzód, bez jednego spojrzenia w niebo. (Prawda, istnieje parę schronów pogodowych, ale większość zniszczyli wandalcy.) Podziwiałam matkę, choć nigdy nie umiałam jej kochać, czy nawet polubić. Była fenomenalnie silna i potrafiła nas utrzymać razem, nawet po tym, jak mój tata skończył na raka, a później ten drugi, ojciec Joga, Daisy i Anielki. Matka, za pomocą lania i awantur, zdołała pokazać nam, czego mamy się w życiu spodziewać. Ale kiedyś musiała mieć trochę fantazji: weźmy na przykład głupie imię, które mi dała - zielone, od zieleni drzew i pastwisk, zieleni wody przypominającej butelkowe szkło; widziałam to wszystko wewnątrz Centrum. Drzewa na ulicy i w opuszczonych ogrodach są zawsze łyse albo z rzadka pokryte liśćmi w całkiem przyjemnym kolorze brązu. Czasem wypuszczały dziwne pąki albo owoce; wtedy ktoś o tym donosił i drzewa ścinano. Myślę sobie, że one przypominały trochę moją matkę, albo to w niej tkwiło podobieństwo do drzew. Twarda determinacja, uparte trwanie zasuszonych konarów, które nie ośmielają się zakwitnąć, i pazury korzeni wczepione w grunt.

Dzielnie okazała tylko odrobinę zdenerwowania, kiedy mogliśmy już dostrzec blask kopuły w słońcu oświetlającym Wysokie Wzgórze znad ruin starego kina. Znacznie wtedy przyspieszyła, poganiając mnie. A jednak ani razu nie spojrzała w górę, by szukać chmur.

Wszystko poszło, jak należy: niebo wciąż było czyste, gdy znalazłyśmy się w podziemnym przejściu z betonu. Podczas jazdy ruchomym chodnikiem pozwoliłam odpocząć stopom, stając to na jednej, to na drugiej nodze, jak widziany kiedyś w telewizji bocian.

Matka zobaczyła i natychmiast kazała mi przestać. Kamery śledzą całą długość chodnika do Wejścia. Nie miało sensu tłumaczenie, że to nieważne. Nie znosiła pyskowania i choć pewnie darowałyby mi przed kamerami, mogłam oberwać później. Pamiętam, miałam sześć czy siedem lat, gdy zabiła mnie po raz pierwszy. Użyła w tym celu plastikowego paska, po zdjęciu sprzączki. Nie chciała zostawić mi blizny. Nieuszkodzona Greena była sposobem przetrwania; matka już wówczas wiedziała, że coś ze mnie wyrośnie. Ale uderzenia pasa bolały, zostawiały pręgi. Gdy leżałam i wyłam, pochylała się nade mną zdyszana:

- Nie będziesz mi się odszczekiwać, słyszysz? Nie pora na to. Zrobisz, co ci każę.

Po udzieleniu odpowiedzi na zwykłe pytania stanęłyśmy w kolejce do łazienki. Niedużo ludzi stało, bo przecież był Alarm. Prześliznęłam się przez wykrywacz mechaniczny i kobieta z obsługi nawet nam pogratulowała niskiego poziomu.

- Sekcja SEK, prawda? - spytała zachęcająco. - Bardzo dobry rejon. Tam mieszka mój brat. Skończył trzydziestkę i ma troje dzieci.

Z kolei matka pogratulowała tej kobiecie i z dumą oświadczyła, że nasz dom pierwszy w całym SEK miał założony Uszczel.

- Moje dzieci nigdy nie bawiły się na dworze - zapewniła. - Nawet tutaj Greena prawie nie wychodziła przed skończeniem jedenastu lat. Większość naszej żywności sami hodujemy.

Nagle czując, że wyjawia zbyt wiele - w końcu nigdy nie wiadomo, kto podsłuchuje, a na przedmieściach grasują gangi włamywaczy - zamknęła się jak uszczelniona.

Gdy wchodziłyśmy do łazienki, za nami rozgorzała straszna kłótnia. Rozległ się ryk mechanicznego wykrywacza. Jakaś kobieta znacznie przekroczyła dopuszczalny poziom.

Wrzeszczała, że musi dostać się do Centrum, do córki, która będzie rodzić najstarsza wymówka, zresztą może prawdziwa, choć sprawy ciąży podlegają pod kopułą ścisłej regulacji. Ktoś ze straży medycznej szarpał kobietę pytając o Ubezpieczenie.

Gdyby je miału, szpital Wejścia zająłby się nią i być może coś poradził. Lecz ona nigdy nie dostała Ubezpieczenia, mimo że jej córka była w Centrum; syreny wyły i już dochodziło do rękoczynów.

- Mamo - odezwałam się, gdy wchodziłyśmy w obszar białych kafelków i plastyku, z mrugającymi oczami czarnych kamer nad głową, w huku wodospadu pryszniców. - Mamo, do kogo mnie prowadzisz?

Ona naprawdę wyglądała na zaskoczoną; chyba wciąż myślała, że w swej naiwności nie odgadnę celu, do jakiego zmierzała od początku: ona też chciała mieć córkę w Centrum. Spiorunowała mnie wzrokiem; potem powiedziała nieodmienne:

- Nie twoja sprawa. Licz, że ci się poszczęści. Zabrałaś puder?

- Tak, mamo.

- Dobrze, weź jeszcze to. Spotkamy się w barze.

Otworzyłam pudełko, w którym był tusz do oczu "Smoky", kremowa szminka pachnąca brzoskwinia i mały flakonik perfum w aerozolu o nazwie "Niech Się Stanie".

Żołądek podszedł mi do gardła. Lecz zaraz pomyślałam: no i co z tego. Prawdziwą głupotą z mojej strony byłaby wiara we własną naiwność. Wiedziałam od lat.

Gdy kończyłyśmy w barze hamburgery, zaczęło wreszcie padać na dworze. To dawało się w y c z u ć , pomimo wielokilometrowej odległości, pod ochronnymi warstwami i szkłem ołoiowym. Coś w rodzaju migotania wzroku. Tutaj nic nam nie zagrażało, ale ludzie instynktownie odsuwali się od ścian zewnętrznych baru, kryli się pod liśćmi zasadzonych w skrzynkach plastikowych palm. Matka została na miejscu.

- Skończyłaś, Greeno? To idź do łazienki i wyczyść zęby, zanim wyruszymy. Wyperfumuj się jeszcze.

- Flakonik pusty, mamo. Starczyło na jeden raz.

- Rozbój w biały dzień - sarknęła matka. - W ogóle nie czuć.

Kazała mi pokazać pusty aerozol i zmusiła do psyknięcia powietrzem w jedno i drugie ucho.

Na tyłach baru biegnie wysadzana drzewami autostrada do Centrum. Prawdziwe drzewa, zielone, a na poboczach zieleń traw. Zeszliśmy ze stoku, by zaczekać na elektryczny autobus o wesołej, jaskrawej barwie, za to z nieuprzejmym kierowcą. Zawsze wydawało mi się, że wszyscy w Centrum tryskają radością i zadowoleniem, są pełni optymizmu i życzliwości. I stale doznawałam rozczarowań. Oni od razu wiedzą, że ktoś nie jest stąd; ostatecznie każdego zdradzi kolor cery, różny od bladej skóry spod kopuły i czekoladowej opalenizny z solariów

Centrum. Choć nikt nie mógł tu wejść bez sprawdzenia dopuszczalnej normy, większość ludzi odsuwa się od przybyszów w autobusie czy kolejce podziemnej. Gdy raz czy dwa poszliśmy z matką do kina w Centrum, nikt nie usiadł koło nas. A jednak nie wszyscy postępują w ten sposób. Osoba, do której prowadziła mnie matka, nie ma pewnie nic przeciwko temu.

- Będę mówić za ciebie - oświadczyła matka, gdy wysiadałyśmy. (Kierowca ruszył nie czekając, niemal strząsnął nas ze stopni z obrzydzeniem; dobrze, że żadna z nas nie zwichnęła nogi.)

- A jak on mnie o coś spyta?

- On?

Nie zamierzałam jednak ustępować tym razem.

- No, dobrze. W takim wypadku odpowiesz, ale wpierw dobrze się zastanów.

W niektórych zakątkach Centrum stoją bardzo stare budowle historyczne i pomniki miasta wewnętrznego: zadbane i ładnie utrzymane, ponieważ znajdują się w środku. Stanęłyśmy właśnie przed jednym z takich budynków. O ile dobrze pamiętam z telewizji (matka dopilnowała, żebyśmy wychowywali się z telewizją edukacyjną, lekcjami na kasetach i zestawami do ćwiczeń) architektura wyglądała na koniec osiemnastego albo początek dziewiętnastego wieku: biały kamień, zwieńczone okna i kolumnady portyku, a u stóp długich schodów - czarne żelazne lwy.

Gdy wchodziłyśmy po schodach, odczuwałam przejęcie i lekki strach.

Szklane drzwi za rzędem kolumn były szeroko otwarte. Właściwie dlaczego nie - tutaj można. Ciepły, lecz rześki powiew słodkawo pachnącego powietrza z klimatyzacji pod kopułą dmuchając w tę i z powrotem wdzięcznie poruszał liśćmi prawdziwych paproci w donicach. W holu stało akwarium ze złotymi rybkami. Chciałam zatrzymać się i popatrzeć. Czasem na ulicach Centrum widzi się zamożnych ludzi wyprowadzających na spacer czyściutki i zadbane psy albo lisy. Kiedy indziej wysoko w oknie siedzi jedwabisty kot. W parkach Centrum mieszkają ptaki, nauczone, że nie wolno im latać nigdzie indziej. Gdy nad kopułą zapada zmierzch, słychać ich podniecone ćwierkanie: sadowią się do snu. Wtedy zapalają się wszystkie latarnie w mieście, a dookoła nich tańczą ćmy. W Centrum można dostać prawdziwy miód z farm pszczelarskich, wołowinę i mleko z ośrodków hodowli, a także łososia, wyprawioną skórę, wino i róże.

Ale rybki w zbiorniku były śliczne. I nagle pomyślałam, że jeśli tu zostanę - jeżeli się uda... ale nie wierzyłam ani trochę. Wypełniałam tylko wolę mojej matki, bo przecież nie wolno się jej sprzeciwiać, nigdy przenigdy.

Windziarz zabrał nas na szóste piętro. Doskonała obojętność: nas tu nie ma, on sobie jeździ windą z nudów.

Wielki, stary zegar w holu oznajmił trzecią po południu. Weszliśmy w pusty korytarz. Podobnie jak okna, wszystkie pokoje były otwarte: wykwintne nisze ze szklanymi meblami - pomieszczenia biurowe. Ostatni pokój w głębi korytarza miał zamknięte drzwi.

Matka przystanąła. Była blada; jej oczy i usta tworzyły trzy rysy w bezbarwnej kości. Uniosła dłoń, która drżała, lecz pukanie zabrzmiało twardo i donośnie.

Po chwili drzwi same się otworzyły.

Matka weszła pierwsza.

Stanąła przede mną, pośrodku doliny wysłanej dywanem zielonym jak trawa, i zasłoniła mi widok.

- Dzień dobry panu. Mam nadzieję, że nie przyszliśmy zbyt wcześnie.

Męski głos: - Ależ skąd. Córka jest z panią? Świetnie. Proszę do środka.

Głos brzmiał całkiem młodo.

Podążyłam za matką po trawiastym dywanie, ukazały mi się krzesła i biurko, potem matka pozwoliła mi stanąć obok siebie i powiedziała:

- To moja córka, Greena.

Pan Alexander. Miał najwyżej dwadzieścia dwa lata: wyjątkowe szczęście, bo urodzeni w Centrum dożywają pięćdziesiątki, a nawet sześćdziesiątki, choć dużo rzadziej. (Pod kopułą oni często nawet nie kończą na raka, pod warunkiem, że przyszli tu na świat. Matka zwykła mawiać, że zabija ich wygodne życie.)

Był opalony w solarium i nosił piękne ubranie: bawełnianą koszulę i spodnie. Miał srebrną bransoletkę - i nie pomyliłam się, co do jego wieku: czerwony pasek na nadgarstku. Wyglądał higienicznie i apetycznie, niemal smakowicie. Szybko odwróciłam wzrok pod jego spojrzeniem.

- Bardzo proszę usiąść - podał matce kryształową szklaneczkę dżinu z Centrum, na kostkach lodu z plasterkami cytryny. Z uśmiechem zapytał mnie, czy wypiję napój mleczny, tak, prawdziwe mleko, o smaku truskawkowym. Byłam zbyt zdenerwowana, by się ucieszyć, czy naprawdę chcieć, ale i tak nie miałam wyjścia. Nie odmawia się czegoś takiego.

Gdy przycupnęliśmy na krzesłach, ze szklankami w rękę, on przysiadł na biurku (nie pił z nami). Machając nogą wyjął papierosa z pudełka i zapalił.

- Cóż, muszę przyznać... - zaczął rozmowę z moją matką jestem wdzięczny za przybycie tutaj i to po ogłoszeniu Alarmu. Dowiedziałem się, że była przelotna ulewa.

- Wtedy znajdowaliśmy się już w środku - prędko oświadczyła matka. Chciała ostatecznie wyjaśnić sprawę: deszcz nie zniszczył kwiatuszka.

- Tak, wiem. Wejście informowało mnie na bieżąco.

Prawdopodobnie sprawdził nasz poziom. W końcu miał do tego pełne prawo. Jeśli chciał mnie kupić, potrzebował gwarancji.

- Pozwoli pani, że powiem od razu: choć pierwszy raz widzę pani córkę, jestem pewien, że się nada do tego rodzaju pracy. Jest śliczna i ma mnóstwo wdzięku.

Udawanie, że w grę wchodzi jakaś praca, było normalne. Zresztą może z początku będę nawet gdzieś zatrudniona.

Matka musiała dawać ogłoszenia już od zeszłej jesieni. To wtedy zrobiła mi w Centrum zdjęcie. Byłam na nim tylko w nylonowych majteczkach z koronką. Taką fotografię robi się co dziesięć lat na badaniach w Medycznym. Ale przy każdym ogłoszeniu jest podobne zdjęcie. To nielegalne, ale ludzie się nie przejmują. Jeden chłopak z naszej ulicy trzy lata temu dostał się do Centrum w taki właśnie sposób. Zamieścił ogłoszenie, wszystko sam przygotował. Był przystojny, choć miał włosy tak wiotkie jak moje pewnie je straci przed osiemnastką. Ale zdaje się, że to nie miało znaczenia.

Czy matka dostała jakieś inne oferty? Czy tylko tego pana Alexandra o jasnych, wyrazistych oczach?

Nie zwracając uwagi skończyłam ofiarowany napój.

Pan Alexander spytał, czy mogłabym coś odczytać, wręczył mi zapisany rox. Dzięki staraniom mojej matki i lekcjom telewizyjnym umiałam czytać, w każdym razie rox na pewno; znajdował się na nim krótki tekst wzywający jakiegoś pana Clevelanda do biura 170B na siódmym piętrze, a pannę O'Beale do podziemi. Możliwe, że moja praca będzie wymagała odczytywania podobnych informacji. Podszedł i ze szczerą radością uściśnął mi dłoń, całując na próbę w lewy policzek. Usta miał jędrne i zdrowe, a jego wspaniały zapach przywodził na myśl pieniądze i poczucie bezpieczeństwa. Nie na darmo matka nade mną pracowała. Natychmiast rozpoznałam tę woń i spodobała mi się. Pomiedzy odczytywaniem kolejnych wiadomości może pozwolą mi karmić ryby w zbiorniku.

Pan Alexander był wyjątkowo uprzejmy i znów nalał matce pełną szklankę dzinu, prowadząc z nią towarzyską rozmowę o najnowszych filmach w Centrum, najmodniejszym kolorze - bez żadnej przykrej czy nietaktownej wzmianki na przykład o cenach żywności w środku i tam albo o zamieszkach w SEO miesiąc temu, kiedy to odgłos pożarów i huk pistoletów policji przeniknął nasze szczelne ściany domu w SEK. Nie wspomniał też nic na temat bieżących wydarzeń, o wskaźniku śmiertelności na kontynencie albo o wojnie celnej z USA - wiedział, że nasze kanały telewizyjne są cenzurowane. Ograniczona wiedza uniemożliwiała nam wszechstronną dyskusję.

Wreszcie oświadczył: - No cóż, nie będę was dłużej zatrzymywał. Jeszcze raz dziękuję. Chyba można powiedzieć, że wiemy już, na czym stoimy, prawda? - Roześmiał się poprzez dym czwartego papierosa, a matka zdobyła się na swój uśmiech trupiej czaszki, pokazując resztki zębów wyplukane w dzinie z cytryną.

- Oczywiście napiszę do pani. Szczegóły prześlę ekspresem. to by oznaczało, że list nadejdzie... od dziś za pięć dni. Zgodna?

- Doskonale, proszę pana - odrzekła matka. - Mogę powiedzieć w imieniu Greeny: jest niezwykle wzruszona. To dla nas tak wiele znaczy. Jednak jest pewien problem, oferty jeszcze kilku panów - naturalnie poprosiłam o zwłokę. Mam dać odpowiedź przed końcem tygodnia.

Wykonał gest udawanego przerażenia:

- Wielkie nieba, nie mogę utracić Greeny. Powiedzmy trzy dni, dobrze? Zobaczą, może uda mi się wyprawić posłańca, by mój list doszedł jak najszybciej.

Pożegnałyśmy się; znów ścisnął mi dłoń i pocałował w oba policzki. Biło od niego wewnętrzne ciepło i jakaś siła. Czułam się jak po pocałunku tygrysa i chyba byłam zakochana.

Przy wyjściu długo z moją matką czekałam, aż megafony ogłoszą Bez Zmian, choć wcale nie zaczęło znów padać. Gdy znalazłyśmy się na zewnątrz, zachód słońca rozświetlał czyste niebo nad przedmieściami płomieniem w sześciu barwach czerwieni.

- Zobacz, mamó - powiedziałam, bo wychowana w zamknięciu, rzadko miałam okazję patrzeć na gołe niebo. - Czy to nie piękne? Przez kopułę wygląda inaczej.

Lecz u matki piękno widoku nie budziło podobnych uczuć. W końcu to skażenie powietrza sprawia, że kolory świtu i zmierzchu są tak wspaniałe. Dlatego radowanie się nimi jest idiotyczne, może nawet sprzeczne z prawem.

Poza tym matka zachowywała się bardzo dziwnie od momentu opuszczenia biura pana Alexandra. Nie pojęłam, że przecież zadziałał dżin szczodrze wlewany w duże szklanki. Z początku była zawzięta i energiczna, w bojowym nastroju heroicznie stawiała czoła wymuskanemu Centrum i nawet pokazywała mi różne miejsca, niczym przewodnik. Nie wypowiadając tego głośno dawała mi do zrozumienia: kiedyś będziesz tu żyć. Ale potem, gdy w poczekalni przy wyjściu wypiliśmy mnóstwo dość paskudnej kawy z automatu, zatopiła się we własnych myślach. Jej oczy stały się tak ciemne i bez wyrazu, że odwróciłam wzrok. Przestała się do mnie odzywać.

Alarm deszczowy odwołano, lecz było za późno na autobus. Powstał dodatkowy problem gangów wychodzących na ulicę w poszukiwaniu zaczepki.

Wspaniała, zatruta luna zamierała w krajobrazie smolistych kikutów drzew, piramid i bloków opuszczonych budowli, zardzewiałego ogrodzenia.

Na szczęście kręciło się sporo patroli policyjnych. Matka dała im krótką odprawę, gdy ją zatrzymali. Generalnie nie zwracali na nas uwagi. Nie wyglądałyśmy niebezpiecznie.

W SEK zapalały się ocalałe latarnie i zwykli ludzie przechadzali się, albo siedzieli na resztkach zwalonych ścian wdychając mniej szkodliwe powietrze. Wylażą z nor jak kiedyś króliki. Minęłyśmy grupkę znajomych kobiet przed domem z Uszczelu na końcu naszej ulicy. Zapytały, skąd wracamy. Matka ucięła krótko: - Byłyśmy u znajomego i tam przeczekałyśmy Alarm.

Choć Uszczel, jak głosi reklama, jest odporny na wszystko prócz wybuchu nitrogliceryny, matkę ogarnął nagle jakiś okropny niepokój. Błyskawicznie przemierzyła beton do drzwi, otworzyła i wciągnęła mnie za sobą. Wrzuciłyśmy ubrania do zbiornika, choć właściwie nie wymagały prania po prawie całym dniu spędzonym w Centrum. Telewizor dalej ryczał. Matka pobiegła do pokoju dzieci, wciągając po drodze nylonową bluzkę i spódnicę. Zaraz wybuchła awantura. W ciągu dnia Jog wysypał całą ogromną puszkę mleka w proszku. Daisy

próbowała posprzątać, bo postanowili nic nie mówić matce, choć ona przecież musiałaby i tak zauważyć brak puszek. Daisy miała dopiero siedem lat, a Jog trzy, więc szybko wszystko się wydało. Matka dołożyła wszystkim, nawet Anielce. Daisy, odpowiedzialna za dom podczas naszej nieobecności, dostała pasem; niezbyt mocno, ale wystarczająco, by nasz szczelny dom wypełnił się wrzaskami i dzikim szlochem.

Już po wszystkim zrobiłam herbatę. Piliśmy bez mleka, które trzeba było oszczędzać do końca miesiąca.

Matce minął nastrój zamyślenia. Ponośli ją. Zabrała mnie ze sobą na górę, do kur. Ostatnio jajka wykazywały coraz wyższy poziom. Może podwórze zamknięte miało jakąś nieszczelność?

Znalazłyśmy się pośród grządek sałat; nasze człapanie obudziło kury, które zatrzepotały z nagłym ożywieniem. Matka chwiała się na drabinie, pod samym dachem, z latarką.

- Nic tu nie widzę - powtarzała.

Zeszła wreszcie. Oparła się o drabinę i stała z dyndającą latarką, w której wypalały się baterie. Z trudem łapała oddech.

- Mamo... nie zgasiłaś latarki.

Wyłączyła ją i kładąc na słupku przy ogrodzeniu podeszła nagle. Chwyciła mnie za ramiona i wpiła wzrok w moją twarz. - Greeno, czy ty rozumiesz całą sprawę z tym Alexandrem? Rozumiesz?

- Tak, mamo.

Potrząsnęła mną gniewnie, ale nie za mocno. - Wiesz, dlaczego to masz zrobić?

- Tak, mamo. Dobrze; mamo. On jest naprawdę miły. Zobaczyłam, że jej oczy znów zmieniły wyraz, i zachwiałam się. Poczułam, że ziemia się pode mną zapada. Ona miała oczy pełne piekących łez. Wzrok łagodny i szalony zarazem.

- Słuchaj, Greeno. W zeszłym tygodniu skończyłam trzydziestkę.

- Wiem.

- Zamknij się i słuchaj. Byłam w Medycznym. Źle ze mną, Greeno.

Patrzyłyśmy na siebie. Cóż, żadna niespodzianka. Każdemu się zdarza. I tak pociągnęła dłużej niż większość. Tutaj średnia wynosi dwadzieścia pięć.

- Nie chciałam ci nic mówić, nie teraz. Jeszcze przez trzy miesiące nie muszę iść do szpitala. Miewam bóle, ale od czego jest Ubezpieczenie: mogę kupić naprawdę dobry środek, ten nowy.

- Mamo...

- Cicho bądź. Chcę cię spytać, czy wiesz, co masz zrobić. Z dziećmi. To twoje siostry i brat, wiesz o tym, prawda?

- Tak. Zajmę się nimi.

- Niech on ci pomoże. Zrobi to. Chce cię naprawdę. Miał straszego pecha ten Alexander. Jego legalna dziewczyna skończyła na raka. Urodzona w Centrum i tak dalej, a miała osiemnastkę, gdy wykorkowała. Za to nam się udało. Dzięki Bogu, zapisałam cię na sterylizację, gdy byłaś mała. Widzisz, on nie może legalnie spać z inną dziewczyną, jeżeli w grę wchodzi zapłodnienie. Okazuje się, że jest obciążony: ryzyko deformacji. A wcale nie wygląda.

- Tak, mamó. Znam przepisy rozrodu.

Nie uderzyła mnie, ani nawet nie zbesztła za pyskowanie. Chyba przyjęła to jako zapewnienie, że wiem, o co chodzi. Zresztą nietrudno było dociec, jaki kłopot ma Alexander. W przeciwnym razie dlaczego miałby brać dziewczynę z zewnątrz?

- Jeśli chodzi o Anielkę - powiedziała matka - chcę, żebyś dopilnowała u niej tego samego: sterylizacja w przyszłym roku, gdy skończy pięć lat. Ona też ma szansę, może wyrosnąć na bardzo ładną. Daisy nie będzie miała z siebie pożytku, chłopiec tak samo. Ale postarasz się tu sprowadzić przyzwoitą kobietę, żeby się nimi zajęła. Żadnych przytułków. Nie dla moich dzieci.

Westchnęła i mówiła dalej: - On ci pomoże. jeśli to dobrze rozegrasz, zrobi wszystko, co zechcesz. Będzie cię nosił na rękach. Puściła mnie i krzywiąc twarz w uśmiechu powiedziała:

- Miałyśmy dziesięć zgłoszeń. Poszłam zobaczyć się z każdym z nich. Ten jest najmłodszy i najlepszy.

- Tak, świetny. Dziękuję, mamó.

- Tylko pamiętaj, żebyś mnie nie zawiodła.

- Nie zawiodę. Przrzekam. Naprawdę przrzekam. Kiwnęła głową, potem jej twarz skurczyła się pod szczelną maską pogardy, a oczy przybrały zwykły wyraz.

- Zejdźmy już. Powinnam czymś posmarować siniaki Daisy.

Słyszałam, jak na dole matka odchodzi dzieci po kolei, pociesza i upomina, smarując bolące miejsca maścią uśmierzającą.

Gdy tak stałam na schodach, w przytłaczającej ciemności domu, przez moment czułam, że kocham moją matkę.

Potem mi przeszło. Zaczęłam myśleć o panu Alexandrze i jego ubraniu, o blasku oczu i zdrowej, opalanej twarzy.

To było piękne. Wcale nie przysłał gońca. Przyjechał sam. Siedział w małym, szczelnym samochodzie pancernym, przypominającym aligatora z telewizji, ale zaraz wyskoczył i po

betonie wbiegł do naszego domu. (Jego goryl bezceremonialnie został w wozie. Miał pistolet i obojętnie czujny, śmiercionośny wygląd.)

Pan Alexander przyniósł mi pół tuzina nieskazitelnie herbacianych róż, pudło jedzenia dla domu, zabawki i kasety wideo dla dzieci, nawet dżin dla matki. Przypuszczalnie jeszcze nie wiedział, że zostały jej tylko trzy miesiące, choć pewnie się tego domyślał. Nadskakiwał jej z każdej strony, a kiedy matka wypowiadała potwierdzenie zgody do przenośnego rejestratora, pocałował mnie w usta, po czym wyjął butelkę szampana. Wino było bardzo pienne i jeden kieliszek przyprawił mnie o zawrót głowy. Nie smakowało mi, lecz poza tym uroczystość wypadła wspaniale.

Nie wiem, ile za mnie zapłacił. Nigdy go o to nie zapytałam, ani o prawne zabiegi, jakie zmuszony był stosować. Mógł sobie na to pozwolić, a o to jedynie chodziło mojej matce, mnie. (Ona cały czas wpłacała na Ubezpieczenie i teraz świadczenia, odpowiednio zwiększone, przejdą na dzieci.)

Wreszcie musiała mu powiedzieć o szpitalu. Wiem na pewno, że osobiście dopilnował, by miała osobny pokój i najnowszy środek usmierzający, a eutanazję wyznaczono, dopiero kiedy będzie gotowa. Nie pozwolił mi się z nią tam zobaczyć. Zresztą ona mówiła, że sobie tego nie życzy. Zaczęła już tracić wagę i kurczyć się, jak to zwykle bywa.

Dzieci strasznie płakały. Myślałam już, że nic nie da się zrobić, ale w końcu wyszukana przez niego agencja przysłała nam dziewiętnastoletnią kobietę po utracie własnego dziecka, która umiała od razu nawiązać uczuciowy kontakt. Bezpieczny dom stanowił oczywiście nieodparty argument dla każdego przy zdrowych zmysłach. Agencja odpowiednio zadba o wszystko, zresztą ona miała niski poziom, powinna pociągnąć co najmniej sześć lat. Gdy byłam tam ostatnio, wszyscy wyglądali na zadowolonych. On nie chce mnie już puszczać na zewnątrz.

Pół roku temu oficjalnie wprowadził mnie do centrum. Wszystkie drzewa były niesamowicie zielone, ryby i łabędzie pluskały się w wodzie i na wodzie, ptaki śpiewały, a on podarował mi żywego ptaszka w obszernej, przepięknej klatce; przepadam za tym ptakiem, który czasem śpiewa. Może przeżyje tylko rok, ale wtedy dostanę nowego - obiecał mi.

Czasami chodzę do kabiny w holu jednej z historycznych budowli i czytam przez głośnik zawiadomienia. Płacą mi w krążkach kredytowych Centrum, choć właściwie nie potrzebuję własnych pieniędzy.

Dwa pokoje na Fairgrove Avenue, które należą do mnie, są wspaniałe. Światła włączają się i wyłączają, kiedy ktoś wchodzi albo wychodzi, zasłony zasuwają się z nastaniem zmroku, rolety chronią przed jaskrawym blaskiem. Łazienka z prysznicem zawsze pachnie świeżością, jak leśna polana w słońcu powinna - i pewnie kiedyś pachniała. Widuję go cztery, pięć lub sześć razy w tygodniu, chodzimy na kolacje i na filmy, on zawsze przynosi mi prawdziwe kwiaty, czekoladki, owoce i miód. Kupuje mi nawet książki do czytania. Niekiedy uczę się nowych słów ze słownika.

Gdy kochał się ze mną po raz pierwszy, odniosłam dość dziwne wrażenie, ale on był bardzo delikatny. Przeczynałam, że mogę to bardzo polubić (miałam rację), choć w pewnym sensie robienie tego wydaje mi się raczej krępujące.

Tej pierwszej nocy, już po wszystkim, trzymał mnie w ramionach i było mi dobrze. Nikt nigdy mnie nie obejmował z opiekuńczą troską. Opowiadał mi też o tej dziewczynie, która skończyła na raka. Zdaje się, że on bardzo się tym przejmował, tak jakby nikt w ten sposób nie umierał, ale przecież w Centrach, pod kopułami, śmierć to nie zawsze pewnik.

Mojej matce zależało jedynie na czasie, a gdy ten się wyczerpał, na wyzwoleniu od bólu i bezpiecznym odejściu. Lecz mój kochany myśli, że jego dziewczyna pragnęła o wiele więcej i że ja powinnam także więcej chcieć. To mnie trochę przeraża, bo przecież mogę nie dożyć dwudziestki i wtedy znów złamię mu serce. Ale on pewnie znajdzie kogoś nowego. A może będę silna jak matka. Mam nadzieję. Chcę dotrzymać obietnicy dotyczącej dzieci. Jeżeli uda mi się ustawić Anielkę, ona dalej da sobie radę. Potrzebuję tylko na to dziesięciu czy jedenastu lat.

Wczoraj zdarzyło się coś wesołego. Powiedział, że jutro, to znaczy dziś, przyniesie mi zabawkę. Tak, zabawkę, choć jestem kobietą i jego kochanką. Nigdy nie miałam zabawki. Najbardziej kocham mojego ptaszka. Jego też kocham.

Jednak najdziwniejsze, że brakuje mi matki. Ciągłe rozpamiętuję jej słowa, krzyki, bicie za karę. Wspólne chodzenie po zakupy albo do kina; ataki furii, zgrzytanie połamanych zębów.

Jak przez mgłę pamiętam niekończące się dni Alarmu pogodowego, gdy byłam mała: siedziałyśmy we dwie w domu jak w więzieniu i zaczynał lać deszcz, straszne, złowrogie strumienie, których się bałam, wówczas jeszcze bezwiednie. Całe trujące promieniowanie gromadzi się stale i wszędzie jak niewidzialne lśnienie; jakoś przenika do nieba, a stamtąd splukuje je w dół deszczowy potop. Ocenzurowana płatna telewizja rzadko podaje do publicznej wiadomości wypadki i przeoczenia, za sprawę których wciąż tak się dzieje. Czasem ogłaszano, że wszyscy mają opuścić ulice i wejść do środka, z niewyjaśnionych powodów, bez groźby deszczu czy wiatru. Policyjne wozy krążyły po ulicach na sygnale, wreszcie one też wślizgiwały się do swych kryjówek. Następnego dnia zwykle było Bez Zmian.

W Centrum telewizja nie podlega cenzurze. Byłam ciekawa, co mówią o przeciekach i zanieczyszczeniach - tutaj. I właściwie wcale o tym nie wspominają. Chyba pod kopułą to wszystko nie ma znaczenia.

Wciąż przypomina mi się pewien rano straszliwej ulewy; miałam wtedy sześć lub siedem lat. Usiłowałam wypatrzeć coś w zakazanym świetle, z nosem przyklepionym do Uszczel. Poprzez niezbyt przejrzysty materiał widziałam tylko zacinające, szare strumienie wody. Nagle zobaczyłam coś tak niesamowitego, że aż zapiszczałam głośno.

- Co jest? - zapytała matka. Zmywała właśnie naczynia po śniadaniu używając połowę porannego przydziału filtrowanej wody; ze złością stuknęła talerzami.

- Greeno, przestań wydawać głupie odgłosy.

Pokazałam palcem. Matka podeszła, żeby zobaczyć.

Wpatrywałyśmy się razem w strugi deszczu, gdzie maleńka dziewczynka, może roczna - s t a ł a p o p r o s t u n a u l i c y . Nie wiadomo, jak się tu znalazła; najpewniej zgubiła się jakimś dzikim lokatorem. Miała na sobie krótkie, niebieskie spodnie i nic poza tym; ścisnęła

strzęp starego koca udający lalkę. Nawet przez szczelne okna i tafle deszczu widać było, że zanosi się płaczem z przerażenia.

- Jezu Chryste Matko Święta - powiedziała moja matka jednym tchem. Twarz jej zbielała jak wyszorowany zlew w kuchni. Lecz oczy pałały żywym ogniem, gotowe wstrzymać deszcz.

W następnej sekundzie wepchnęła mnie do pokoju z telewizją i zamykając na klucz krzyczała:

- Siedź tam i nie ruszaj się, bo cię zamorduję !

Potem usłyszałam, że jedne i drugie drzwi frontowe zostały otwarte. Zamknięte. Kiedy się otworzyły i zamknęły, dobiegł mnie histeryczny dziecięcy wrzask. Zaraz stał się głośniejszy i wypełnił cały dom. Wreszcie ucichł. Pojęłam, że matka wybiegła w tę pogodę, złapała dziecko i wniosła pod dach.

Oczywiście to było bezcelowe. Kiedy następnego dnia, po ogłoszeniu Bez Zmian, pojechałyśmy do stacji nagłych wypadków, dziewczynka umierała. Była taka malutka. Do końca ścisła skrawek koca, odwracając się od mojej matki i od pielęgniarki z miłosierną igłą zapomnienia.. Tylko ten łachman był jej przyjacielem. Kawałek koca, który towarzyszył jej cierpieniom pośród deszczu.

Kiedy matka płaciła za zabieg i za nasze odkażanie, obsługa stacji mówiła jej straszne rzeczy, ganiąc jej głupotę, aż zaczęłam płakać ze strachu i poniżenia. Matka zignorowała mnie i przyjęła uwagi z podniesionym czołem, tylko warczała przez zęby jak rozjuzzone zwierzę.

Całą drogę do domu płaczliwie narzekałam. Dlaczego zaprowadziła mnie do tych okropnych ludzi, którzy poszturchiwali nas swoimi narzędziami, oblewali gorącym prysznicem, mówili i robili rzeczy nieprzyjemne i bolesne? (Teraz widzę, że okazywałam w ten sposób zazdrość o małego, skażonego intruza. Wtedy byłam jedynym dzieckiem w domu.)

- Do łóżka ! - krzyknęła matka. Nie posłuchałam. Wreszcie wzięła się za mnie i sprąła plastikowym pasem. Tak gwałtownie, jakby spuszczała cięgi całemu światu; na koniec zmusiła się, by przestać.

Ale teraz jestem tutaj, z moim kochanym i z moim ślicznym śpiewającym ptaszkiem. Widzę skraj zielonego parku z obu okien. I nigdy, nigdy nie pada.

To dziwne, że tak bardzo tęsknię za matką.